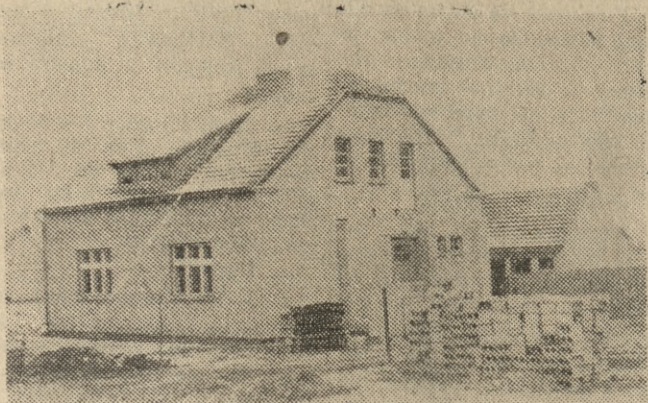


INOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok V nume 46

Niedziela, 5 XII 1954



Tutaj mieszka Światłowski-syn na nowym osiedlu górniczym

Dr Aleksander Rogalski

działacz katolicki — kandydat do WRN

FAKTY, KTÓRE UCZĄ

Jedno z naszych czołowych pism politycznych użyło niedawno takiego zwrotu: „Nasz pochod do socjalizmu nie jest podobny do spaceru po wyasfaltowanej autostradzie”.

W tym obrazowym powiedzeniu trafnie zostały scharakteryzowane warunki, w jakich odbywa się, zakrojona na olbrzymią skalę, przebudowa naszego życia narodowego. Mamy za sobą osiągnięcia, które wymagały od całego społeczeństwa wielkiego wysiłku, licznych wyrzeczeń się i ofiar. Ale przed nami stoją zadania nie mniej trudne i niemienniejsze. Damy im radę, wykonamy je należycie tylko wtedy, jeśli wszyscy będziemy nad nimi pracowali i to równie intensywnie.

Pomyślnie ku temu warunki stwórzają nowe rady narodowe. Główny ich sens mieści się właśnie w tym, że szerzej i skuteczniej niż dotąd ludność każdej gromady, każdego miasta, powiatu czy województwa uczestniczyć będzie w zarządzaniu sprawami swego terenu.

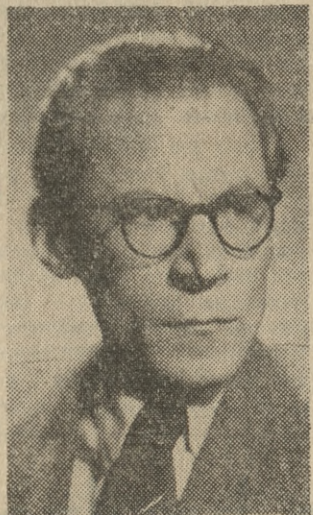
Wiążę się z tym konieczność pogłębienia świadomości politycznej mas pracujących, pogłębienia u każdego obywatela poczucia odpowiedzialności za życie bieżące i za przyszłość naszego kraju. Nie nastąpi to bez wyrobienia sobie jasnego poglądu na sytuację, w jakiej dokonuje się realizacja wielkich planów, zawartych w programie Frontu Narodowego.

Otoż nie może nie uzmysłowi nam tak plastycznie tego, cośmy dotąd zrobili i nad czym w dalszym ciągu pracujemy (pokonując rozliczne przeszkody, zmagając się niejednokrotnie z poważnymi bólami — jak choćby pobięte rzucone okiem na sytuację, panującą w analogicznych dziedzinach w krajach, które należą do obozu nam przeciwnego, że szczególnym uwzględnieniem Niemiec zachodnich. Zaczniemy choćby od budownictwa mieszkaniowego. Nie będe tu przytaczać cyfr i danych co do naszego kraju, województwa czy miasta, bo są one dostatecznie wszystkim znane. Jest rzeczą jasną, że choć budownictwo mieszkaniowe przybrało niespotykany rozmach, głód mieszkaniowy panuje u nas nadal. Ale istotne jest to, że się u nas wyteżyły wszystkie siły, aby ten głód jak najprędzej zaspokoić. Tymczasem jak wygląda sytuacja mieszkaniowa w Niemczech zachodnich czy w Austrii?

W Hamburgu brak jest 220 000 mieszkań. W Monachium około 70 000 mieszkańców na własne mieszkanie. We Fryburgu, liczącym niewiele ponad 100 000 mieszkańców, zarejestrowano ponad 10 000 osób poszukujących mieszkań.

W Wiedniu 83 proc. wszystkich mieszkań składa się tylko z jednego pokoju i kuchni i pozba-

wionych jest przedsiionka, swiatła, powietrza i słońca. W czynszowych kamienicach miejskich w stolicy Austrii mieszkańcy — przeciętnie 25 proc. Ale nawet tego rodzaju pomieszczenia tam za mało: 36 000 rodzin musi gospodarować wraz z innymi rodzinami w wspólnym mieszkaniu i korzystać z wspólnej kuchni. W Linzu 60 000 osób nie ma się w ogóle gdzie schronić. Tylko 44 proc. robotników rozporządza tam własnym miesz-



Dr Aleksander Rogalski

kaniem, 36 proc. robotników żyje w barakach a 20 proc. mieszka na sublokatorze. W Salzburgu 10 868 osób mieszka w barakach, w tym 3426 dzieci. Natomiast aż w nadmiarze posiada Salzburg takich lokali, jak domy publiczne, lupanary, tajne i jawne punkty schadzki, z których korzystają żołnierze amerykańscy i ich „migi rils”.

Wzrasta u nas stopień zdrowotności społeczeństwa i u sprawnia się szczególnie opieką nad matką i dzieckiem. W pracach przyszłych rad narodowych ta dziedzina będzie zajmować czołowe miejsce.

A jak się przedstawia ta sprawa w innych krajach?

Badania, przeprowadzone ostatnio w zachodnio-niemieckich stacjach opieki nad matką, przyniosły wstrząsający wynik. Okazało się, że na 1000 matki 146 było niedożywionych, 448 cierpiało na wyczerpanie nerwowe a 360 na wyczerpanie fizyczne, 308 ma tek choruje na serce, 214 na zaburzenia w krwioobiegu i 128 na zakłócenie neurovegetatywne. Przyczyny? Coraz bardziej zastraszające się metody racjonalizacji żywności, praca zarobkowa tylko dorywcza i bezrobocie.

Nie inaczej przedstawia się w tym kraju opieka nad młodzieżą: 4,2 proc. uczniów i uczennic szkolnych jednego z największych miast w Zagłębiu Ruhry, liczącego ponad 500 000 mieszkańców, chodzi do szkoły bez śniadania. W ogóle co siódme dziecko w wieku szkolnym w Republice Federalnej nie jada w ogóle w domu śniadania, bo ich rodziców na to nie stać.

Jeszcze jedna cyfra z tej dziedziny. Tym razem z „kraju nieograniczonych możliwości”. Prezydent Eisenhower podał w swym raporcie w styczniu

Nasz wspólny dzień

Czesław Michniak

zety Poznańskiej”, Henryk Światłowski, planista w biurze kopalni (obaj kandydują do GRN) i — Ja.

Ktoś, kto nie zna Wapna, zastanawia się — czyżby nomen omen? Nic podobnego. Właśnie — sól. Wprawdzie projekt zmiany nazwy „Wapno” na „coś innego” (podpowiedźmy: Solinów, Solawa, Solice) nie należy do kluczowych problemów tej miejscowości, niemniej posiada spory ładunek emocjonalny, określony przywiązaniem górników do zawodu, kopalni. „Wapno, Wapno”, kręcą głowami górnicy, „to brzmi jakoś nieładnie”.

Niech rozstrzygnie o tym ludność, gromadzka rada narodowa*).

A teraz inne sprawy.

— Budżet gminy dotyczył prawie wyłącznie rolnictwa, wsi — wyjaśnia Jankowski. — Otrzymał kredyt na jakieś kolwiek inwestycje komunalne w osadzie, połączone było z dużymi trudnościami. Mówiąc językiem bankowców, zabrakło dla nas paragrafu. Teraz — Jankowski wymienia korzyści — po wydzieleniu osady sytuacja zmieni się radykalnie. W oparciu o nowe możliwości finansowe, tym lepiej będziemy mogli likwidować nasze bolączki. Kanalizacja, rozbudowa przedszkola...

— Dom kultury — wtrąca Światłowski.

— Twarda nawierzchnia dla ulicy Stalingradzkiej — ciągnie korespondent „Gazety Poznańskiej”. — Z pieniędzy na koszt 1 robotnicę było błędne koło. W ZOR-ze mowiłi, że to do nich nie należy, bo domy znajdują się na terenie gminy Wapno. A w Prezydium utrzymywali, że to jest sprawa ZOR-u, bo chodzi o dojazd do bloków administracyjnych przez tę właśnie instytucję...

Moi rozmówcy, zajęci bólem kamil, kładąc nacisk na to, co powinno być, jakby zapomnieli o tym, co jest, co wybudowano. To jest dosyć charakterystyczny objaw, z jakim się można prawie wszędzie spotkać. Ludzie nie widzą osiągnięć, pozytywów na własnym terenie. A przecież jest na co patrzeć. Idąc ze Światłowskim główną ulicą osiedla notuję w pamięci to, czego mi nie powiedział: piękne bloki mieszkalne, stałe kino, przedszkole, ośrodek zdrowia.

Te krytyczne uwagi, wnioski i postulaty są jednak zupełnie uzasadnione: ludzie chcą żyć coraz lepiej.

— Z zaopatrzeniem jest różnie — odzywa się Światłowski (żona, ma dwoje dzieci, jest na wikie domowym, więc w tych sprawach obeznan). — Może to brzmie paradoksalnie, ale brakowało niekiedy... soli — na chwilę przerywa. — Bo uważacie, my prowadzamy ją z... Wieliczki. Jeżeli chodzi o wędliny, to asortymentowa nuda: kiełbasa krakowska i kiełbasa krakowska... Jedynie z mlekiem nie ma kłopotu, bo mi dostarcza ojciec...

Władysław Światłowski, 11-letni gospodarz z Rusiecia koło Wapna, dostarcza mleka nie tylko synowi... Z dostaw wywiązuje się w 100 procentach.

Rusiec, to już teren gromady Wapno. Zabudowania gospodarskie Światłowskiego odcinają się ciemną plamką na tle pól przypiórzonych śniegiem. W pobliżu rozlokowało się w dwóch szeregach osiedle górnicze, gdzie mieszka Światłowski — syn. Dano mu do dyspozycji 1-rodzinny domek, 4 pokoje z kuchnią i łazienką.

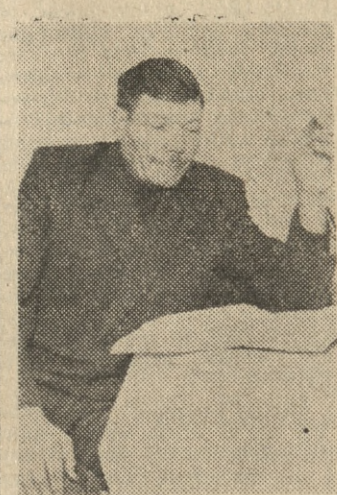


Będzie nad czym radzić — mówią kandydaci mieszkalców osiedla — Światłowski-syn i Jan kowski.

Z Władysławem Światłowskim spotykam się w bramie jego domu. Poznaję go od razu. Podobieństwo do syna uderzające. Ta sama okrągła twarz, kolor i obramowanie oczu, życzliwe, wesołe spojrzenie. Zakłada na głowę czapkę-kominiarkę z naszywkami, bo zimno. Idzie teraz do gminy na zebranie komisji wyborczej.

— Mam być gorszy od syna? — uśmiecha się. — Ja też kandyduję, ale do gromadzkiej rady narodowej**).

Rozpoczyna z miejsca o tym, co jest treścią jego życia: gospodarstwo. Hodowla. Rocznie odstawia 10 do 13 tuczników. Słew krzyżowy, pszenica jara, poletka doświadczalne uprawy ziemniaków, za co ma otrzymać premię. Podawa*).



Ignacy Czarczyk w wolnych chwilach studiuję gazety

daje cyfry kwintali. „Ma już chyba z sześćdziesiątkę”, zgaduję, patrząc na niego. Trzyma się dziarsko.

— Ischias mnie łamał, ale teraz Bogu dzięki uspokoił się — jak gdyby zgadł moje myśli.

Poza synem Henrykiem, który rego poznałem w kopalni, ma jeszcze troje dzieci. Córka kończy 11-latkę w Kcyni. Jest na stancji. Trzeba posyłać dziewczynie żywność. Jeden syn na gospodarstwie, drugi robotnikiem odlewni w Nakle.

— Co dopiero wrócił z wojska. Widzi pan, te domki za nowym osiedlem robotniczym? I tam mieszkają górnicy... Trzeba je skanalizować, oświetlić, położyć chodniki, bo błoto.

Ala to przecież już sprawy osiedla. Nie dziwmy się tej trosce. Jest ona nowym akcentem w życiu Światłowskiego — ojca. Może teraz przychodzi mu na myśl syn-robotnik, borykający się z trudnościami mieszkaniowymi w Nakle. Znać się chyba będzie.

Mijamy dwa gospodarstwa, jedno obok drugiego. Niemal podają sobie ręce, tak wąska jest tu droga.

— Spółdzielcy — mówi Światłowski i stawia kolnierz kurtki, bo wiatr zaczyna śniegiem.

Oto drugi kandydat do gromadzkiej rady narodowej (wiejskiej) — Ignacy Czarczyk, górnik. Do biura kopalni wchodził zacerwieniony z zimna, z podniesionym kołnierzem zielonego płaszcza, ciężki, brylowaty. Mówi oszczędnie, ale konkretnie.

— Nalało mi się do uszu na zebraniu przedwyborczym — rozpoczyna trochę żartobliwie — chłopci skarżyli się na pewne braki w zaopatrzeniu w na-

(Dalszy ciąg na str. 2)

*) Mowa tu o GRN dla Wapna — osiedla górniczego kopalni.

**) GRN dla Wapna wsi.

Znamunt Jaski

Obowiązuje do dziś

— Wezwaliśmy tu pana, monsieur Dupont, jako adwokata, który słynie ze zręczności. Sprawa jest ważna i pilna. Pan wie, że najdalej w listopadzie br. musimy przeprowadzić nowe wybory.

— Dlaczego musimy? Raczej możemy przeprowadzić, narazie możemy! Obecny skład Zgromadzenia Narodowego...

— Nie potrzebuje pan przypominać. MRP — 145 mandatów, socjaliści — 99 mandatów, radykalowie — 43 mandaty, degaullisci — 22 mandaty, a komuniści — 167 mandatów! Cyfry te pamiętać będziemy długo. Kosztowały nas niemało. Otóż ten stan rzeczy więcej powtarzyć się nie może, rozumie pan?

— Naturalnie, tylko — jak temu zapobiec?

— Czy my jesteśmy pańskim adwokatem, monsieur Dupont, czy pan naszym? Od pana czeka my rady. Musi pan wygotować nowy projekt ordynacji wyborczej.

— To rozumie! Czy są ustalone jakieś zasady?

— Jest jedna: komuniści w żadnym razie zwyciężyć nie mogą!

— Doskonale. Projekt taki mam, już gotowy. Przede wszystkim doradzą wprowadzenie zasady „koalicji”.

— Co to nam da?

— Oddad wyborcy będą głosować na listy poszczególnych partii, a nie na pojedynczego kandydata. Otóż nowa ordynacja winna zezwolić partiom na łączenie się w tzw. „koalicje” celem wystawienia wspólnej listy. Głosy oddane w jakimś okręgu na poszczególne partie „koalicji” będą sumowane.

— Oh la la, monsieur Dupont, ładnie byśmy wyglądali, gdyby tak np. komuniści wystawili koalicyjną listę z socjalistami!

— Nie wystawia! Do tworzenia „koalicji” upoważnione będą tylko partie „narodowe”, czyli takie, które wystawiają listy co najmniej w 30 departamentach. A więc: socjaliści i MRP — owszem, ale komuniści już nie.

— Dość oryginalnie pomyślane. Ale jak pan sobie wyobraża, monsieur Dupont, koalicję dwóch najsilniejszych naszych stronnictw, socjalistów i postępowych katolików? Czy jest pan taki naiwny, aby sądzić, że socja lista będzie głosował na klerika i odwrotnie?

— Ominiemy tę trudność. Wstawimy punkt, który pozwoli partiom należącym do „koalicji” prowadzić kampanie wyborcze na własną rękę, tak jak gdyby stawały do wyborów oddzielnie. W swoim mniemaniu wyborcy oddawać będą głosy na własną partię, równocześnie jednak ułatwią wybór kandydatów z innych partii należących do „koalicji”. Mimo to socjaliści będą mogli dowieść atakować klerikałów, a klerykałowie socjalistów, co nie przeszkodzi, że wszystkie głosy będą ostatecznie zsumowane i w gruncie rzeczy socjaliści będą głosować na klerikałów, a klerykałowie na socjalistów.

— A wie pan, że to jest dosyć dowcipne. Niestety nie zabezpieczy to nas przed infiltracją komunistów do Zgromadzenia.

— Od tego zabezpieczy nas za sada „większościowa”.

— Cóż to takiego?

— Jest to punkt ordynacji, mówiący o tym, że „koalicja”, która uzyskała w danym okręgu ponad 50 procent głosów — otrzymuje wszystkie mandaty.

— Bardzo dobrze. Widzimy, że pan jest istotnie zręcznym radcą, monsieur Dupont. Ale to wszystko nie daje nam jeszcze pewności zwycięstwa w okręgach północnych i środkowych, gdzie — jak panu wiadomo — mamy do czynienia z tak wielką przewagą robotników.

— I o tym pomyślałem. Tym razem okręgi wyborcze wytyczymy nie według liczby zamieszkałej ludności, ale według granic departamentów. Każdy departament, mały czy duży, słabo czy silnie zaludniony, wybierze taką samą liczbę deputowanych.

— Ten projekt brzmi rewelacyjnie! Pan jest kapitalny, monsieur Dupont! To będzie jeszcze jeden triumf zachodniego sposobu myślenia: nie dać komunistom ani furtki, a zachować wszelkie tradycje naszej demokracji. Dziękujemy panu, monsieur Dupont, jutro poda nam pan te ordynacje na piśmie. Zastwierdzamy ją.

— Gorzej, że w dniu 8 maja 1951 roku te „ordynacje wyborcze” — ściśle taka, jak wyżej przedstawiono — zatwierdziła dupontowska większość parlamentarna i że według tej ordynacji odbyły się we Francji ostatnie wybory. Nawet „Le Monde” napisał o niej: „Jest to najmniej uczciwa ordynacja wyborcza w historii Francji”.

Obowiązuje do dziś.

Dobroczyńcy

Dziedziczny pan wsi Czar-
notki (pow. Sroda) Wit Go-
ralski w roku 1827 musiał u-
właszczyć chłopów. Nie chciał
się jednak zgodzić na czynsz
wyznaczony przez komisarza
Lorenza. Postarał się o inną
komisję. Nowe
mu komisa-
rzu Noakowi
z Krotoszyna
powiedział, że
„Lorenz do te-
go układu był
głupi, jako
panów krzyw-
dził”. No-
ak czynsz po-
dwoił, ziemię
wyzначzył naj-
gorszą. Chłopi nie zgodzili
się, a szczególnie uparli się
Wojciech Piócienniczak. Noak
groził więzieniem, Goralski
pistoletami.

No i co mieli zrobić? Pano-
wie chłopów uwłaszczali, pa-
nowie rządili i przy tej oka-
zji... odebrali lepsze ziemie,
a dali chłopom najgorsze —
a potem sądzili na ich pamięć,
jako o dobroczyńcach!

Częstochowskie wojsko

Hej, były to czasy! Klasz-
tor częstochowski, za przy-
kładem wielkich magnatów
XVIII w., utrzymywał u sie-
bie specjalne wojsko. Kiedy
ktoś z dystygnowanych przy-
jeżdżał, żołnierze witali go
„prezentując broń” w dwu-
szeregu. Tylko ostatni w sze-
regu wyciągał do przechodzą-
cego lub przejeżdżającego do-
stojnika kapelusz, aby wrzu-
cić mu parę złotych na „po-
krępienie” garnizonu.

Żołnierz częstochowski na
szyldwach „swoiście” pre-
zentował broń przed lep-
szym gościem: w jednej ręce
dźwierzg karabin, a drugą
wystawiał kapelusz. Także w
tej samej „pobożnej” inten-
cji.

Nie dziwimy się. Było to
przecież wojsko, złożone z sa-
mych weteranów, starych wó-
czków, wydrwigroszów, któ-
rzy pod murami klasztoru za-
pewnili sobie i wikt i napi-
wek.

O tym pisze pochodzący z
Wielkopolski ks. Jędrzej Ki-
towiec w swoim Opisie Oby-
czajów.

Kiepski prawnuk wielkiego Reja

A był nim także Mikołaj z
Nagłowice Rej, dziedzic mia-
sta Skoki i wielu wiosek w
naszym województwie. Przed
Szwedami (połowa XVII w.)
denuncjował współobywateli,
gnębił lud, namawiał do
zdrady, posyłał najeźdźców
na siedziby stronników Jana
Kazimierza. A że panowie się
bili, a chłopci padali — Lu-
kaszowi Niemojewskiemu w
Łopuchowie (koło Murowanej
Gośliny) wymordował kilku-
nastu poddanych.

„Swoi” jednak magnatowi
nie dali zginać. Wstawili się
za zdrajcą do króla Jana Ka-
zimierza, który „przyjął go
do swojej łaski królewskiej”.

Dzisiaj w po-rejowski pała-
cu w Skokach mieści się o-
gnisko artystów-plastyków.

Przepis na czarną geś

Dla smakoszy geśiny poda-
jemy przepis na tzw. czarną
geś z czasów Augusta III.

Upalić wie-
ciec słony
(najlepiej sło-
nie wziąć z
buta) na wę-
giel, do tego
łyżkę miodu
surowego, przy-
lać octu moc-
nego, zmieszać
z ową słoną
spaloną, za-
sypać pie-
przem i imbirem. W ten
sposób geś stanie się czarna.

Czy smakowała ta potra-
wa, nie pisze o tym J. Kito-
wicz w swoim „Opisie”. Może
kto spróbuje.

Wypędzamy nudę!

Zofia Andrzejewska

Wielu naszych działaczy
społecznych i aktywistów trak-
tuje sprawy życia kulturalnego
wsi jako drugoplanowe. Robią
to zresztą nie ze złej woli.
Działacze ci szczerze przejmują
się sprawą podniesienia wyda-
jności z hektara, planową odsta-
wę zboża, mleka czy mięsa.
Niepowodzenia w tych sprawa-
ch zrzucają na karb małej
świadomości wsi, nie potrafią-
c z tego faktu wysnuć należytych
wniosków. Praca kulturalno-
oświatowa jest dla nich czymś
zupełnie oderwanym od walki o
wysokie urodzaje, od walki o
realizację planu.

Stefan Mazur, przewodniczący
spółdzielni produkcyjnej w Ję-
drzejewie, to dobry gospodarz.
Spółdzielnia pod jego kierownict-
wem rozwija się i rośnie gospo-
darczo. Przeliczenia dnia
obrachunkowa wynosiła w Ję-
drzejewie w zeszłym roku 31,80
zł. Jednocześnie ten poważny —
znany i szanowany Mazur, kan-
dydat na członka Wojewódzkiej
Rady Narodowej, kieruje zespo-
łem artystycznym swej groma-
dy. A prowadzi go dlatego, że
między innymi właśnie praca
światłowa, praca z młodzieżą
pomaga spółdzielni w realizowa-
niu jej planów produkcyjnych.
Wie o tym Stefan Mazur, wie
Czesław Wyrwa, ukochany wy-
chowawca dzieci Jędrzejewskich,
wie aktywni partyjni i ZMP-ow-
ski.

Estetyką światła trzeba się zająć

Oto i cała tajemnica dobrej
pracy świetlicy w Jędrzejewie,
Grzegorzewie, w Słocinie pow.
Nowy Tomysł, Bralinie pow.
Kępno, w Szelejewie pow. Go-
styń i wielu, wielu innych.

Tam, gdzie aktywnie gromadzi
widzi jednostkę walki o wzrost
gospodarczy z walką o podnie-
sienie kulturalne wsi, tam ro-
są urodzaje, rośnie liczba prze-
czytanych książek, ludzie stają
się rozumniejsi, lepsi, pełni
radości.

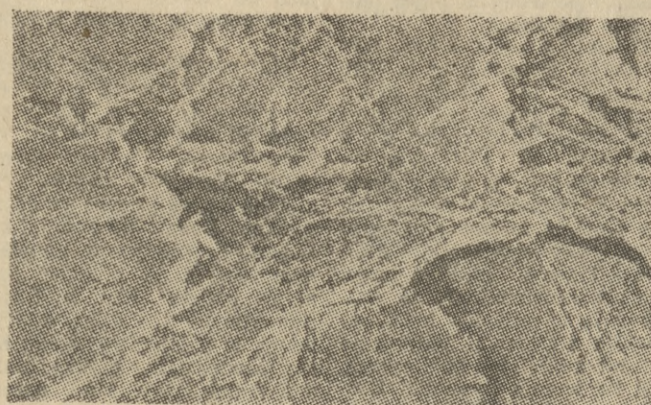
Jest rzeczą jasną, że na do-
brą pracę naszych świetlic skła-
dają się jeszcze takie elemen-
ty, jak należyta opieka nad na-
rodowymi i instancjami partyjnymi
oraz pomoc fachowa i mate-
rialna. W tej dziedzinie jest
jeszcze też sporo do naprawie-
nia. Jednak nawet największa
troska władz powiatowych czy
wojewódzkich nie zastąpi ro-
boty organizatorskiej w samej
gromadzie.

Jeżeli jednak mówimy już o
pomocy fachowej, to warto by
poruszyć sprawę, która moc-
no obchodzi wielu działaczy kul-
turalnych wsi. Poważna ilość
naszych świetlic wiejskich cierpi
na „niedorozwój estetyczny”
swoich wnętrz. Prymitywnie
wykonane kulisy, plakaty na-
tłoczone po ścianach bezładu i
składu, czy jakieś potwornie
wykonane portrety — oto cała
dekoracja przybytku, w którym
ma się kształtować pojęcie pięk-
na.

W Poznaniu są dwie szkoły
plastyczne. Wyższa i średnia.
Wydać nam się, że zbliżenie
uczniów tych szkół do wsi, czy
to w formie praktyk terenow-
ych, czy poprzez odpowiednie
organizowanie wakacji szkol-
nych, czy też poprzez zwyčaj-
nie wycieczki jedno- czy dwu-
dniowe, przyniosłoby obydwu
stronom pożytek.

Tyle z naszej strony. O resz-
tę wniosków prosimy naszych
Czytelników.

JAK POWIADAMIAŁIŚMY, RZĄD NRD OD-
DAŁ DO DYSPOZYCJI POLSKIM UCZONYM
ZNAKOMITY PRZYZRĄD NAUKOWY — MI-
KROSKOP ELEKTRONOWY. PONIZEJ DAJE-
MY POPULARNY ZARYS PODSTAW DZIA-
ŁANIA TEGO URZĄDZENIA.



Czyżby łańcuch górski, oglądany z samolotu? Nie — to
...malina zęba, oglądana przez mikroskop elektronowy.

Elektrony widzą bardzo wiele

„Na oko — zły to pomiar”,
powiada stare przysłowie. Na-
rządy zmysłów ludzkich, to bar-
dzo zawodni „współpracownicy”
w badaniach naukowych. Fakt
ten uświadamiano sobie już bar-
dzo dawno. „Oczy i uszy — to
zły świadkowie dla ludzi” — ma-
wiał Heraklit z Efezu przed
dwi i pół tysiącem lat. Inicja-
tor poglądu o powszechnej
zmienności obiektywnego świa-
ta. Wyloniła się stąd wielowie-
kowa batalia o „przedłużenie”
przyrodzonych zdolności poznaw-
czych naszych narządów zmy-
słowych. Możliwość oglądania
migoczących w oszłamniaczej
odległości „gwiazd” jako bez-
miernych światów — przy-
pomocy instrumentów astrono-
micznych, zbliżająca się szansa
oglądania niewidocznej nieuzbro-
jonym okiem kropli wody jako
potężnego przerwistego wodnego
o pozornej średnicy jednego ki-
lometra — przy pomocy mikro-
skopów nieoptycznych, oto
dwa tylko ośniewające sukcesy
z tej wielofrontowej batalii.

DLUGOŚĆ FALI DECYDUJE

Brak miejsca nie pozwala tu
opowiedzieć długiej i bogatej w
wydarzenia historii przyrządów
zwiększających zdolność obser-
wacyjną oka w zakresie ogląda-
nia obiektów bardzo małych,
czyli mikroskopii. Mikroskop
światłowy dał powiększenia rze-
dy tylko kilka tysięcy razy. O-
kazało się bowiem, że istnieje
kres doskonałości tych instru-
mentów działających według za-
sad optyki (nauki o promienio-
waniu widzialnym czyli o świe-
tle). Stosowane tam pojęcia jak
„zdolność rozdzielcza”, „powie-
kszenie liniowe” i inne, przetłuma-
czym na język zrozumialszy.
Według współczesnego stanu wie-
dzy, ciało „świecące” jest źró-
dłem rozchodzących się drgań
w postaci „fal świetlnych”. Od-
ległości między punktami prze-

strzeni, w których zachodzą
dwie najbliższe sobie a iden-
tyczne formy drgań, są niesły-
chanie małe. Mówimy stąd, że
fala świetlna jest „krótka”. Mi-
kroskop światłowy nie pozwala
oczywiście oglądać przedmiotów
„krótszych” od samej fali. Kry-
zys ten następuje, gdy rzeczy-
wista wielkość przedmiotu
jest rzędu kilkudziesięciotysięcz-
nych części milimetra. Niestru-
dzeni badacze wprowadzają więc
różne wybiegi, jak „immersje”
(zanurzenie preparatu ogladane-
go w specjalnych substancjach),
ba, wykorzystują nawet niewi-
doczne „fale nadfioletowe”, kró-
tsze od fal świetlnych, dochodzą-
c w ultramikroskopach do widocz-
ności obiektów o rozmiarach
jednej dziesięciotysięcznej czę-
ści milimetra, ale to już
i koniec. W opowieści po-
pularyzatora są nieuniknione
pewne swoiste obrazowości. Po-
zwólmy sobie i my na nie. Otóż
przy jeszcze mniejszych rozmiar-
ach oglądanych przedmiotów, że
się tak wyrażymy, fala „świetlna”
czy nadfioletowa po prostu —
„prześlizguje” się między celi-
m, na jakie zwrócona jest uwaga
badacza. Obraz staje się nie-
stry i jakby zamglony.

ELEKTRONY ROZWIĄZUJĄ SYTUACJĘ

Nauka nie stoi jednak na miej-
scu. Ujawniono wprawdzie bar-
dziej fakt, że „grad” elektro-
nów (cząstek ujemnej elektrycz-
ności) może w pewnych warun-
kach zachować się tak jak każda
fala a więc na przykład „świe-
tlna”. Napotkawszy mianowicie
„przeszkodę” uginą się w namar-
szczeniu, jakby uśmiewała
„okazywać” ją od tyłu. Oznacza to,
że „grad” elektronów jako „fale
materii” (mówimy „materii”,
gdyż elektrony są to elementar-
ne „cegielki”, z jakich m.in.
zbudowane są materialne atomy)
— można rozważać ze stanowi-
ska teorii ruchu falowego w o-

Nasz wspólny dzień

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rzędzia rolnicze, jak lemiesz-
e, podkowy itd. Dzięje się to dla-
tego, jak sami przyznali, że w
Wapnie nie ma GS-u, tylko
punkt skupu. Ze o zaopatrze-
niu naszym decydował Dama-
sławek. Znacze powiedzenie
„bliźsza kosała ciała”? —
Czaczek rozkręca się, chucha
w ręce. — Chłopi musieli rzu-
cać robotę w polu i jechać 10
kilometrów po to lub tamto.
Zdarzało się, że nadaremnie.

Przekonał się o tym na wła-
snej skórze, bo ma hektar zie-
mi. — To tak, widzicie — tłu-
maczy — Jakby w osiedlu ro-
botniczym nie było wędliniar-
ni albo mleczarni. Ten most
trzeba jak najszybciej przeru-
cić — wraca myślą do GS-u.

Czaczek-agitator jest do-
brze znany tutejszym chłopom.
W akcji skupu wędrował od
domu do domu, nie darując
nawet końcówek zbożowych
(Wapno jest na drugim miej-
sku na powiecie). Jeszcze rok
temu odwiedzał średniorolnego
Lesława Maćkowskiego z Po-
doliny, który nie zawsze wszy-
stko na czas wyściół. Ale
tego lata nie było po co cho-
dzić, chyba na kieliszek star-
ki...

— Lesław Maćkowski też
kandyduje do GRN — cieszy
się Czaczek.

W gminie powstały 4 spół-
dzielnie produkcyjne, m.in. w
Stołężynie. Nie bez satysfak-
cji mówi o niej Czaczek: —
To najstarsza nasza spół-
dzielnia.

W czasie spotkania wyborców
z kandydatami do gromadzkiej
rady narodowej często gę-
sto padały skargi i zażalenia.
Wszystkie istotne, czasem wy-
powiadane w formie ostrej,
niemniej szczerze, z wiarą i za-
ufaniem dla kandydatów. Cza-
czekowi aż serce rosło z tej
ludzkiej troski o wspólne do-
bro. Notował sobie wszystko
skrupulatnie.

Komuż nie leży na sercu us-
prawnienie komunikacji au-
tobusowej? Przy szosie do
Kcyni trzeba wkopać słup z
granatową tabliczką: Przysta-
nek PKS. Nie „na Podolin”
tylko „na Stołężyn” — taka
jest pod adresem Państwowej
Komunikacji Samochodowej
vox populi spółdzielców i go-
spodarujących indywidualnie.

Komuż nie zależy na ład-
nym wyglądzie parku, położo-
nego na terenie spółdzielczej
resztówki? Park ten nie jest
ogrodzony, a poza tym zanied-
bany. A tak bez troski bawia
się tam chłopskie dzieci, tak
chętnie odwiedzają go górni-
cy w letnie, niedzielne popo-
łudnie.

Jeszcze świetlica, gdzie bę-
dzie się ogniskowało życie kul-
turalne kilku okolicznych wsi.
Tańce, śpiewy, szachy, ping-
pong, TWP... Którejś z nie-
dział ZMP-owcy zaproszą
swoich kolegów z kopalni na
zabawę.

— Jeszcze ugory — wzdycha
Czaczek. Jest wyraźnie
zmartwiony. — To tak, jakby
gdzieś porzucono kilka ton
złomu — rozumuje on swo-
im i kategoriami.

— Ugory?
— A tak, mamy tutaj w
gromadzie 11 ha stawów ryb-
nych, niezagospodarowanych.
I jak się nie denerwować —
wybucha.

Odrobinę cierpliwości, towa-
rzyszu Czaczek, poczekajcie
do pierwszego posiedzenia Gro-
madzkiej Rady Narodowej.
Wstanie Czaczek i powie: „Ja,
proszę towarzyszy i obywa-
teli, uważam, że temu marno-
trawstwu trzeba ukreślić leb...”

Przez niedomknięte okno
wyskakuje kilka taktów
melodii znajomego marsza.
Szyby drżą. Próba orkiestry
kopalniowej. W dniu święta
górnika, w sali gimnastycznej
szkoły podstawowej odbędzie
się tradycyjna „Barburka”.
Spotkają się na niej wszyscy
młodzi: Jankowski, Cza-
czek, Światłowski, kierownik
referatu kadr, sekretarka dy-
rektora, z którą rozmawiałem
w stołówce, strażnik — uwa-
żnie sprawdzający moją delega-
cję, koleżanka z portierni, któ-
ra wypisywała mi przepust-
kę...

Tego roku zabawa górnicza
będzie podwójnie radosna. A
to z powodu pomyślnej reali-
zacji planów produkcyjnych —
przewidziana nadwyżka 5 992
tony. Po drugie...

Chciałbym być świadkiem
jak obecni na zabawie Cza-
czek i zaproszony przez syna
Światłowski z Rusleca wznio-
są toast albo, mówiąc po pol-
sku, wypiją za „zdrowie i po-
myślność”.

CZESŁAW MICHNIAK

Wygląd zewnętrzny mikrosko-
pu elektronowego zaskakuje po-
tężną rurą (tubusem), w którym
wprawie zupełnie próżni biegną
rozpędzone elektrony. Pró-
żnia ta nie pozwala znowu na
oglądanie żywych organiz-
mów (bakterii, wirusów). „Kon-
trastujemy” takie drobnostru-
ktury „spryskując” je atomami złota.
„Wedząc” je dla ułatwienia ob-
serwacji. Oczywiście, gdyby na-
wet żyjotka przeszła c/a przez
taką „kapiel” w złoście to mu-
szałaby niechybnie zginąć w próżni
tubusa. Mimo trzch niedogodo-
ści „cień” wirusa przy powiek-
szeniu zaledwie 10-tysięcznym
jest już fantastycznym materia-
łem dla badacza.

ABY UJRZEC ATOM

„Fala materii” jest bardziej
„miękką” niż „światła” gorzej
przenika przez „przeszkodę”,
jaka jest obserwowany przed-
miot. Dlatego wstępnie przykra-
wamy przedmiot precyzyjnym
nożykiem — mikrotoimem na
warstewki „grubości” jednej...
milionowej części milimetra.
Precyzyjny mikrotomu, wykonują-
cego automatycznie 100 tysięcy
takich cieć na sekundę, jest rów-
nie ośniewająca jak sama kon-
strukcja mikroskopu elektrono-
wego. „Skupianie” fali elektro-
nów, nie osiagane soczewkami
optycznymi (porównaj prosimy
zapalenie się papieru poprzez
lunę od słoneczka) rozwija nowo elek-
tromagnetycznie. Soczewka, by-
ja tak tu nazwać, jest układ
przewodnik w sterujący „grad”
elektronów w określony sposób.

Zaawansowane już prace nad
mikroskopem protonowym
pozwalają obtecywać sobie po-
większenia miliona razy. Po-
chwyleni nad przyrządem, badacz
bada wzruszenia tajemnicami,
wydartymi z wnętrza materii.
Zbliżamy się do fenomenu doj-
rzenia wreszcie atomów. (WK)

TYLKO NA EKRANIE

Trzeba tu jednak zauważyć,
że mikroskop elektronowy nie
pozwalia oglądać bezpośred-
nio obiektu. Śledzimy tylko na
„ekranie” niejako jego „cień”,
inaczej niż w mikroskopach
świetlnych. Tym niemniej efekt,
jak zobaczymy, jest wspaniały.

Bili się wzajemnie endecy, sanatorzy, chadey i inni. Łączyło ich jednak hasło walki z komunistami, którzy w każdorazowych wrzawach wyborczych wysuwali konkretne postulaty, mogące naród uratować przed upadkiem gospodarczym i klęską wrzesniową.

Mogły hulać i krwawić ulice naszych miast rozmaite bojówki, nie mogli jedynie ukazać się na trybunach przedstawiciele ludu, aby wypowiedzieć głos ludu. (W)

PEWIEN MIESZKANIEC Pittsburga (USA) podzielił się pod miano adwokata i porozysłał tysiące listów, zawiadamiających swoich adresatów, że odziedziczył spadek. Udzielił nie bliższych danych uzależnił od nadesłania 10 dolarów „na koszty handlowe”.

W ciągu kilku miesięcy „zrobił” w ten sposób 140 tysięcy dolarów...

W OKOLICACH Darmstadtu (Niemcy zachodnie) aresztowano pewne małżeństwo, które wędrując z półtorarocznym chłopczykiem od wsi do wsi, prosiło za każdym razem innego księdza o bezpłatne udzielenie dziecku chrztu. Po dokonaniu ceremonii, mieszkańcy wsi obdarzali zwykle parę wędrowników dodatkowo jeszcze zebraną sumą pieniężną.

Chłopczyk przyjął w przeciągu 6 miesięcy 107 chrztów ewangelickich oraz 48 chrztów ewangelickich, wyczerpując jednocześnie cały rejestr kalendarzowych imion męskich.

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI ruchu publicznego w Oslo, spiesząc samochodem na własny odczyt, zapłacił 500 koron kary za przekroczenie dozwolonej szybkości. Tytuł referatu, który miał wygłosić, brzmiał: „Szybka jazda — przyczyną nieszczęśliwych wypadków”.

Sprawa zdobywcy boiska dla naszej drużyny nie należała do rzeczy łatwych; aby uzyskać pusty plac za miastem — nie wystarczyło wnieść podanie do magistratu. Należało jeszcze urobić opinię, a przede wszystkim radnych. Z radnym Cebulą poszło lekko. Przecież jego sklep będzie mieć perspektywę dalszego rozwoju przez sprzedaż artykułów sportowych. A my możemy się stać żywą reklamą tych artykułów „aby handel szedł”.

Lecz spróbuj skaptować innych radnych — takiego doktora Słupczyńskiego, czy aptekarza Strużkę, czy właściciela stolarni — Kupczaka! Inni śmiertelnicy łatwo zdobyliby sympatię tego triumwiratu. Wystarczyło pójść po poradę do Słupczyńskiego, potem z jego receptami do Strużki, a wtedy i Kupczak uśmiechałby się do ciebie na ulicy, pierwszy się kłaniał i — wybierał deski na trumnę według twego wzrostu. Ale skąd jedenastka zdrowych, tegich zuchów mogła mieć nadzieję na zdobycie poparcia owych rajców?

Włec koledzy do mnie:

— Dużo piszesz i czytasz po nocach, całe miasto o tym wie... Poetaś błady! Idź do Słupczyńskiego. Podoją nas ze Strużką, ale boisko zdobędziemy. A gdy ogłosimy, że będziesz grał w środku ataku — wtedy i Kupczak nasz!

Do Słupczyńskiego nie szło się z gołą ręką. Wobec tego postanowiliśmy: a) nie palić przez dwa miesiące żadnych papierosów, tylko machorkowe, b) nie pić ani wody sodowej, ani „li-moniady” przez dwa tygodnie i c) — nie kupić ani jednej książki — nawet Pittigrilliego — a ciuć, ciuć na honorarium dla Słupczyńskiego i na ewentualne ziółka „przeciwgruźlicze” od Strużki. Kiedy w ten sposób zebraliśmy nieco grosza poszedłem do Słupczyńskiego.

— Pan kasowy, czy prywatny? — zagadnął mnie ktoś w poczekalni.

— Prywatny.

— No to tak z pustą ręką nie wypada, panie kochany...

Rozejrzałem się. Rzeczywiście — w poczekalni pełno ludzi z koszykami, drobiem, nabiałem i czymś jeszcze, zasłoniętym do kapoty, to chustą.

Jakaś kobieta obok mnie miała w koszyku cały gdańczy chór.

— Sprzedaj mi pani kogutka?

Kobiecina sprzedała. Ale le dwa wszedłem, gdy łysawy, do brodnusze uśmiechnięty „synek” miejscowego młynarza i jego dziedzic, doktor Słupczyński — o lśniących jak kule bilardowe policzkach zerknąwszy na koguta syknął do gospodyni:

— Kogo, kogo mi pani dziś wpuszcza?! Przecież powiedziałem, że w dzień targowy kasowych nie przyjmuję! Ten kogut wygląda, jakby już dźbie się lat miał obopólną odmgę!

I naraz do mnie:

— Rozebrać się!

W Poznaniu sprzedaż napojów alkoholowych odbywa się nawet w sklepach z nasionami i karmą dla ptaków. (Np. przy ul. Rokossowskiego 17).



Rys. F. Smielowski

PTAKI SPIEWAJĄCE

Korciło mnie, aby mu zaraz napomknąć o drużynie, aby zbył na serio nie brał moich płuc. A młochy miałem, mówię wam — jak koń!

— Panie doktorze, myśmy... tego...

— Języki!

Wywaliłem go na wierzch z największą satysfakcją.

— Usta szerzej! No, jeszcze szerzej! Pali pan?

— Tak... ale chwilowo...

— Milczeć! Gdy ma pan język na wierzchu, to ma pan odpowiadać kiwając głową — „tak” albo „nie”. Jakże pan pali?

Stojąc pokornie z wywieszonym językiem na brodzie, sięgnąłem w stronę biurka, ująłem ołówek i na papierze wyłuszczyłem rzecz całą o boisku. Podając kartkę rajcy, rze kłem jęcząc żałośnie:

— Włec proszę o receptę...

Takim chory! oje!

Słupczyński sam odprowadził mnie do drzwi. Tutaj szepnął mi do ucha:

— Ale pamiętaj pan: Strużka lubi kapłony!

CZESŁAW SCHABOWSKI



(Pańorama)

— Zamknij usta, bo mój aparat jest tylko 6 x 9.

ZŁY SEN

Śniło mi się, że zostałem radnym, po czym — dla wykazania społeczeństwu, iż dokonało wybitnie szczęśliwego wyboru — wystąpiłem już na pierwszym posiedzeniu z pomyslowym projektem zreformowania naszego handlu detalicznego.

Obywatelu! — mówiłem. — Organizacja naszego handlu detalicznego, mimo niektórych dodatków stron, ma jeszcze poważne niedomagania.

Zgadza się niewątpliwie wszyscy z tym, że jednym z najcenniejszych osiągnięć naszego handlu jest sprzedaż wódek i likierów w sklepach spożywczych. Pozwala to na estetyczne dekorowanie wnętrza, a ponadto wpływa wybitnie łagodząco na nastroje klientów, która popadła w złą nąlog nabywania w sklepach spożywczych fajek lub sera. Ale dlaczego na przykład do ład nie zaprowadzono sprzedaży alkoholu w sklepach wędliniarskich? Czyżby personel tych sklepów nie marzył również o premii za łatwe wykonanie planu?... Nie trzeba poza tym dowodzić, że wędlina i wódka to przecież artykuły, które się wzajemnie dopełniają, powiedziałbym nawet — przyciągają...

Co najmniej dziwnym musi się też wydawać brak tego popularnego artykułu w sklepach odzieżowych. To niedoświadczenie, a nawet — powiedziałbym — gapiostwo kompetentnych czynników trzeba nam jak najszybciej usunąć. Nie jest zresztą wykluczone, iż mamy tu do czynienia ze świadomą złośliwością w stosunku do uczciwego obywatela, któremu w ten sposób pragnie się utrudnić godziwe uczczenie tak ważnego wydarzenia, jakim bywa kupno płaszcza lub garnituru.

Złośliwcom na przekór powinniśmy wobec tego wprowadzić sprzedaż wyrobów alkoholowych do kiosków gazetowych

TRZYCH BUDRYSÓW

(Ballada elektryczna wg Adama Mickiewicza)

Stary Budrys trzech synów, znanych ze swych wyczynów, Rano budzi o świecie i rzecze: „Powstawajcie synkowie, niech z was każdy się dowie, Co mnie ciągle gryzie i piecze.

By nie tracić czezych słówek: w domu brak jest żarówek.

Przeło kupić je dzisiaj musimy. Trzeba małych, niedużych, będą dobrze nam służyć, A i prądu też zaoszczędziny.

Lecz żarówki, ma działwo, kupić nie jest tak łatwo! Rozjedziemy się więc w różne strony, Każdy w inną dzielnicę, przeszukamy ulice, Przeszukamy Poznania rejony.”

Jak powiedział, tak zrobił, do drogi się przysposobił, I synkowie się także rozbiegli.

Gdy południe minęło, każdy skończył swe dzieło — Z zakupami do domu przybiegli.

Stary Budrys, chwyt z chwytów, miał żarówkę sto watów, I tym kupnem najlepiej skorzystał, Bo najmłodszy na mieście kupił lampkę wat dwieście, A najstarszy — to watów aż trzysta.

Lecz syn średni, Michalek, dobił spory antalek, I ze sznurków wnet go odplata,

On przy Rynku Wildeckim, zdobył chwytem zdradzieckim

Tysiąc watów z oprawką „goliata”.

„Durniu! Zakuta pało! Ty rodziny zakalo!

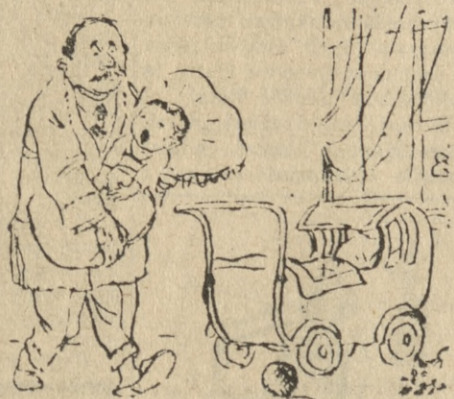
Woła ojciec w rozpacz ostatniej —

W blasku takiej tysiączki można dostać gorączki, Z oszczędności zaś guzik zostanie!”

Dobrzy byli synowie. Aż się drapią po głowie, A w słowach ich pełno boleści:

„Ach, kochany nasz tato, ty nie gniewaj się za to, Nie ma mniejszych żarówek na mieście!”

KAZIMIERZ DONIMIRSKI



Rys. A. Brzozowski

Fraszki POZNAŃSKIE

Nieścistość

Powiadasz o szefie, że pusta to głowa? Nie pusta! Przesada. A woda sodowa??

W. SCISŁOWSKI

O pewnej piosenkarce estradowej

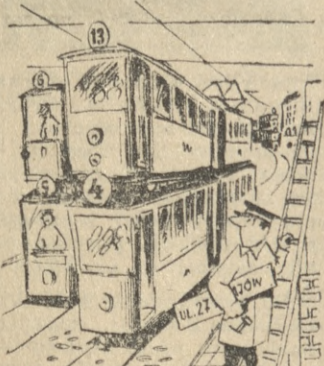
Niczego od ciebie nie żądam, boś ładna wszak w każdej piosence: gdy śpiewasz, pięknie wyglądasz, lecz tylko wyglądasz. Nie więcej...

R. PODLEWSKI



Propozycja

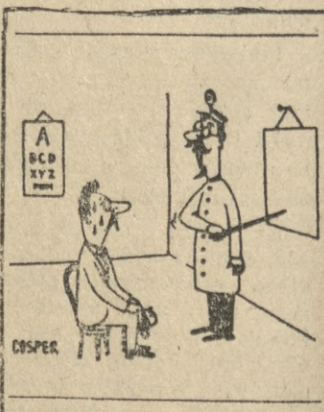
Półowa tramwajów poznańskich kursuje obecnie ul. 27 Grudnia.



Po zmianie trasy, mówi się trudno, jedno nam jeszcze zmieniać zostaje:

ulicę 27 Grudnia na — 27 Tramwajów.

GNOM



Bez podpisu

Czego życzymy gromadzkim radom narodowym!

MIK I DERWICH



... likwidacji odlogów



... pomyślnych wykopków



... stuprocentowych mężczyzn we wsi



... energiczniejszej walki z wółkiem zbożowym



... dalszego wzrostu kadr w gromadzie



... jasnej przyszłości